



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

RUMAK PUSTYNI.



Morza i lądy człowiek przebywać może szybko i wygodnie przy pomocy środków, których mu wynalazczość ludzka dostarcza, pod postacią parowców i kolei żelaznych. Inaczej rzecz się ma, gdy śmiały podróżnik pragnie zwiedzić pustynie owe oceany piaszczyste Afryki i Arabii. Tutaj kilkanaście dni spędzić może, sunąc po jednostajnej przestrzeni pod palą-

ce promieniami słońca, nie znajdzie ani źródła orzeźwiającej wody, ani ochłody drzew cienistych. Kto pustynię zbadać pragnie, ten musi dobrać sobie do pomocy garbatego wielbłąda, obdarzonego wyjątkową wytrzymałością na głód i pragnienie. Wielbłądy przeto przebyć mogą bardzo znaczną przestrzeń dziennie. Lecz i te zwierzęta posiadają odmia-

ny, odznaczające się mniejszą lub większą wytrzymałością. Pierwsze między niemi miejsce zajmuje odmiana dromadera, zwana przez Arabów *mehari*, którego szeroka, cienkiem kopytem obdarzona stopa, wybornie nadaje się do przebywania miękkiego piaszczystego gruntu Sahary.

Lecz niedość mieć rumaka, trzeba jeszcze pomyśleć o wygodnem siodle, na którem podróżnik dnie całe spędzać będzie. Rycina nasza przedstawia nam właśnie najlepiej celowi odpowiadające drewniane siodło przez Tuaregów używane. Nieco wklęsłe siedzenie, kończy z tyłu wysokie oparcie, z przodu krzyżak, a między jego ramiona jeździec wsuwa jedną nogę i przez to ani w tył ani naprzód zbytnio przechylić się nie może. Poza siodłem umieszczony worek skórzany z wodą i kosz z jedzeniem pozwala odbyć kilkodniową podróż bezpiecznie.

W Algerze odbywają się też wyścigi dromaderów *mehari*. Konie wprowadzie szybciej od nich biegają, różnica jednak nie jest tak wielką, jakby o tem na pierwszy rzut oka sądzić było można. I tak: tysiąc ośmset metrów koń przebył w dwie i pół minuty, nieprzyzwyczajony zaś do podobnych biegów *mehari* tę samą przestrzeń przebył w trzy minuty i trzydzieści sześć sekund. Słusznie więc wielbłądy przeważały nad rumakami pustyni.

A. M.

Zwycięztwo Pawelka.

Za najpilniejszych uczniów, najweselszych zuchów, najuczynniejszych i najlepszych kolegów uważali w gimnazjum „Grabkowiczów”.

„Grabkowiczami” nazywano uczniów mieszkających u profesora Grabki. Ta nazwa, czyli właściwie to przezwisko, powstało i przez długi szereg lat utrzymywało się, zapewne z tej przyczyny, że zacny ten pedagog, nie mając własnych dzieci, prawdziwie ojcowską miłością kochał swoich wychowanców. Na żadnej „stancyi” nie mogło być wygodniej, miłej jak w pensjonacie profesora Grabki, mieszczącym się przy jednej z ulic odległych od środka miasta. Profesorski domek o czerwonym dachu i ścianach koloru cegły, ocieniony kilku starymi drzewami, wyglądał malowniczo i wdzięcznie.

Pokoje, w których mieszcili się pensjonarze obszerne były, wysokie, słoneczne; a wielki dziedziniec, przewybornie się nadawał do fechtunku i wszelkich zabaw ruchliwych: krokieta, gry w serso, w palanta i piłkę. To też o pewnych porach dnia, bywało tutaj hałaśliwie i gwaro. A ponad gwarem rozmowy, ponad wybuchami serdecznie wesołego śmiechu, najczęściej górowała jaka dziarska piosnka, np.

Wesoły, szczęśliwy
Parobeczek ci ja,
A mój konik siwy
Rażno się uwija.
Uwijaj się rażno! bież!
Kopytkami ognia krzesz!
Krzesz!... krze-sz! krz-e-sz!

Ostatnie wyrazy każdej strofki dźwięczny i miły głos chłopięcy zwykle, w całej gamie tonów powtarzał. Chłopiec śpiewający ku wielkiej uciechy towarzyszy i dziatwy sąsiadów profesorskiego dworku, nazywał się Adaś Żylski. Od kolegów otrzymał on żartobliwy przydomek „króla tenorów”. Pan Grabka znów dał mu przydomek Chochlika, bo rzeczywiście do figlów, rozumie się przyzwoitych, dowcipnych, a nie złośliwych, Adaś najpierwszy dawał pomysły i był ich najlepszym i najenergiczniejszym wykonawcą.

Wprost przeciwnego usposobienia był Bogdan Marski. Poważny, zamyślony, smutny zawsze, do zabaw nie należał nigdy, na pięknej jego twarzy o ślicznych, czarnych, dużych oczach i bladej cerze, nigdy nie zagościł uśmiech. Uprzejmy w obejściu, zgodny, wzorowo pilny i uważny podczas lekcji, Bogdan Marski chwalony był przez wszystkich, ale nikt go nie kochał.

— To odludek! — mawiali o nim koledzy, — skoro nawet Adaś Żylski nie mógł go rozruszać, to już na całe życie soptem lodu i piękną lalą bez serca pozostanie! — Koledzy przecież za surowo sądzili Bogdana. Zdolny, urodziwy, bogaty, miał wszystko, czem los ulubieńców swoich obdarzyć może, tylko od najmłodszych lat był sierotą. Nie pamiętał nawet swoich rodziców, nie zaznał nigdy słodczych pocałunków macierzyńskich, ani pieszczot ojcowskich; w domu dalekich krewnych opiekowano się nim troskliwie, dbano o jego zdrowie i wygodę, troszczono się o jego postępy w naukach i majątek, ale rzeczywiście nikomu na myśl nie przyszło, że to blade, czarno-okie, smutne chłopię pragnie serdeczności, jak roślina pragnie słonecznych promieni, bez których cierpi, schnie, zamiera. Czem starszy był Bogdan Marski, tem większy żal i większa gorycz rosła w jego sercu.

— Nikt mię nie kocha, i ja też nie pokocham nikogo! — powtarzał sobie ciągle i, z zaciętym uporem stronił i usuwał się od kolegów, skryty, ponury, małomówny.

Odkąd Bogdan przebywał w pensjonacie pana Grabki, tylko dwie osoby spoglądały na niego z życzliwością i współczuciem: zacny pedagog i trzynastoletni syn stróża profesorskiego domu, Pawełek który też niedawno stracił swoją ukochaną „matusię” i gorzko jej śmierć opłakiwał. Pawełek był nad stan i wiek swój bystry i rozgarnięty. Ojcu, którego był jedynym szczęściem, dzielnie pomagał w pracy, wyręczając go we wszystkich lżejszych zajęciach. Umiał czytać i pisać najgorzej; znał główne zasady katechizmu, i pragnął uczyć się długo i umieć dużo, „ogromnie dużo, a dobrze”. Do spełnienia tych życzeń byłby mu jaknajchętniej dopomógł poczciwy profesor Grabek, ale Pawelkowi brakowało odwagi, aby swoje pragnienia wynurzyć.

— Jeszczeby też! — myślał chłopiec — a nużby mnie wyśmiali!... a nużby kto powiedział: A czego mu się zachciwiał?... książki, nauka to dla paniczów, a nie dla takiego jak ty chudziny!... ty pilnuj rydla i miotły! to twoja rzecz!

Więc ze swoich gorących chęci nie zwierzał się nikomu, a tymczasem mijały dnie i tygodnie; upłynęła słoneczna wiosna, upalne lato, nadeszła jesień, a z nią smętny i uroczysty dzień poświęcony pamięci zmarłych.

Zwykle w Zadzuszki Bogdan Marski już wczesnym rankiem jeździł na Powązki i tam, grób rodziców swoich wspaniale przystrażał. Jednego roku w wigilię Wszystkich świętych uczuł się dziwnie osłabionym i sennym.

Nazajutrz, staroświecki zegar z kukułką wygłosił godzinę siódmą. W pensjonacie był to apel do wstawania. Chopcy jak na komendę zerwali się z łóżek i żwawo na wyścigi zaczęli się ubierać. O wpół do ósmej, w przyległym pokoju, donośnym, silnym basem profesor Grabek zaśpiewał:

Kiedy ranne wstają zorze,
Tobie ziemia, tobie morze,
Tobie śpiewa żywioł wszelki
Bądź pochwalon Boże wielki!

Było to wezwanie na pacierz poranny, na który nie było wolno spóźnić się ani minuty, ani sekundy! Przeto z niepokojem wielkim profesor Grabek zauważył, że Bogdana skiego niema ani przy pacierzu, ani na śniadaniu.

Pobiegł do sypialni. Bogdan leżał uspiiony snem tłym. Wezwany natychmiast doktor, znalazł lekką katai gorączkę, która po użyciu lekarstwa ustąpiła zupełnie.

Wszak pojedziemy na Powązki? pojedziemy, niepraważ panie profesorze? — w dzień zaduszny pytał Bogdan.

Jego oczy miały wyraz gorącej prośby, głos brzmiał akcentem prawie błagalnym.

— Jeśli czujesz się zupełnie zdrow... zresztą co prawda, powietrze bardzo jest dzisiaj łagodne i ciepłe — rzekł pan Grabek, nie mając serca odmówić proszącemu chłopcu.

Pojechali.

Skończył się krótki dzień listopadowy. Na bladym, lecz wypogodzonym niebie gasły ostatnie zorze zachodu, kiedy profesor Grabek i Bodan wchodzili w obręb „miasta umarłych”.

Miliony różnobarwnych lampek płonęły, tysiące wieńców, nieśmiertelników, wstęg piętrzyło się na grobach, a ponad niemi, odbłyśki światła utworzyły, jakgdyby olbrzymią oponę z mgły powiewnej, przejrzystej, lekkiej purpurowo-złocistej. Szum drzew łączył się i ku niebiosom płynął z modlitwą, z westchnieniami i cichym płaczem tych, których ukochani już odeszli do tej krainy, gdzie wedle słów poety: „już nie ma ani łez, ani cierpień, ani rozstania!”

Bogdan Marski ulicami cmentarza przeciskał się przez tłumy i dojmujący ból czuł w sercu. Chory był przez dwa dni minione, i poraz pierwszy, odkąd mógł pamięcią zasięgnąć, grób jego rodziców w Zaduszki będzie nieoświetlony i nie przybrany.

— O! jakże smutnem wyda mi się dzisiaj to miejsce, gdzie spoczywają moi najdrożsi — myślał, lecz u kresu swojej pielgrzymki stanął zdumiony — na płycie grobowca paliło się sześć lampek, a wpośrodku stała doniczka z rośliną o delikatnych, blade-zielonych listkach, o purpurowych kwiatach, na wiotkich gałązkach zwieszonych.

Był to przystrojony mogiły skromny, nawet ubogi, niemniej przecież o czyjeś, życzliwej pamięci świadczący.

— Kto postawił te lampki?... i gdzie ja widział te kwiaty?... — myślał Bogdan. Nagle przypomniał sobie, że też samę fuksję zauważył w oknie izdebki stróża, i zwrócił uwagę na staranność, z jaką hodował ją Pawełek.

— Pawełek!!... Czyżby więc on?... czyżby ten mały czuł dla mnie życzliwość, sympatyę?!

Tak, to Pawełek niezawodnie postawił te lampki i fuksję, bo oto ukryty poza filarem kolumny katakumby, zdawała czuwać nad grobem. Stary, wyszarzany za krótki piaszczyk źle go od chłodu ochrania, a blade usteczka szepeczą: „światłość wiekuistą racz im dać Panie!”

Bogdan zbliżył się żywo, pochwyił spracowane dłonie chłopca i głowę jego jasną do swęj piersi przycisnął.

— Dziękuję ci, Pawełku! — szeptał ze łzami — dziękuję!

— A za co paniczku? — odpowiedziało zdziwione dziecko! — Ot przygotowałem dwanaście lampek i dwie fuksye, sześć lampek i jedną doniczkę postawiłem na matusiniej mogiłce, a resztę ofiarowałem waszym rodzicom, paniczku. Bo myśle sobie: Paniczek chory, na Powązki pewno nie przyjdzie. Więc chociaż ja na grobie jego ojca i matki się pomodłę, przecież my oba sieroty, to niby bracia jesteśmy paniczku!

— Tak, bratem moim, ukochanym moim bratem będziesz odtąd! — zawołał Bogdan — przyrzekam ci to, wobec duchów rodziców, które nas słyszą w niebiosach.

I dotrzymał przyrzeczenia.

Bogdan Marski był dość majątnym, abyłożyć na wykształcenie Pawełka, który był najświetniejszym uczniem w tem samym gimnazjum, które poprzednio skończył Bogdan.

Odtąd nikt, nigdy Bogdana nie nazywał „odludkiem” ani „lalką bez serca”. Pod wpływem przywiązania Pawełka, stopniał lód jego charakteru, jak lody i śniegi topnieją pod tchnieniem ciepłych promieni słonecznych.

Ilećroć chwalono uczynność, serdeczność Bogdana Marskiego, profesor Grabek uśmiechał się z dumą i zadowoleniem i mawiał: *to zwycięstwo Pawełka.*

Halina Tokarzewska.

WYBUCH ETNY.

Przed kilku zaledwie laty, bo 1886 roku w piękny majowy poranek o godzinie 11-jej rano krótkie ale silne wstrząśnienia ziemi dały się uczuć na wschodnim brzegu Sycylii. Wiedzano już, że poprzedzają one zwykle wybuch wulkaniczny. Jakoż następnej nocy ukazał się płomień na Etnie i ognisty strumień lawy rzucił się z góry na piękne włoskie gaje i rozkoszne wille, wioski i miasteczka. Catania, Giarre, Pedara, Biancavilla, Aderno, Paterno, Nicolossi, Belpasso, najbliższe wieńcem otaczające górę ognistą, zawrzały rozpaczą i jękami mieszkańców. We dwa dni po powyższym wybuchu, 20-go maja wśród ciągłych wstrząśnień utworzyło się 11 nowych zięjących płomieniem kraterów, pomiędzy Monte-Grosso i Monte-Nero. Rycina przedstawia jeden z tych kraterów, mianowicie pod Monte-Nocilla.

W dniu 1 czerwca ustał dopiero wylew lawy równie jak i straszliwy bezustanny huk i wstrząśnienia.

Najbardziej ucierpiał miasteczko Nicolosi, poprzednio już kilkakrotnie takimi wybuchami wulkanu niszczone.

W chwili obecnej Etna jest spokojna, ale burzy się natomiast pokrewny jej Wezuwiusz. Mieszkańcy jego okolic nawiedzeni już tak ciężko w podobnych okolicznościach, oczekują trwonię dalszych wybuchów, które mogą groźne za sobą pociągnąć skutki. Gdyby nie to, w Neapolu zachwycanoby się widokiem góry ognistej, która w nocy zwłaszcza malowniczo przedstawia widok.

Korespondencya Wieczorów Rodziennych.

(Dokończenie).

Napatrzywszy się strojów, ruchu i świetności wielkoświatowych, wracamy do Heystu na obiad. Po obiedzie, ponieważ wieczór przesliczny, idziemy nad morze, bo to widok, którego się nigdy dość napatrzeć nie można i tu uderza nas niezwykle ruch jakiś. Krzątanie się rybackiej ludności, zwykle już o tej porze zabierającej się do spoczynku. Co to takiego? — pytamy. Statki odpływają jutro, powiada nam znajoma dziewczyna, której ojciec jest właścicielem jednej z największych łodzi i wraz z trzema synami trudni się połowem ryb, a w wolnych chwilach wozi na morze amatorów wodnych wycieczek. Z początku myślimy więc, że liczniejsze, niż zwykle grono urzęda zbiorową przejażdżkę, ale dziewczyna powiedziała to jakimś szczególnym tonem, w którym brzmi niby niepokój, więc nie poprzestając na udzielonym już przez nią objaśnieniu, zaczynam dopytywać się: a jakie łodzie, a gdzie płyną, a po co, i t. d.? Dowiedziałam się też od mojej znajomej, że nie jest to zwykła kilkogodzinna, dla przyjemności przedsięwzięta wyprawa, ale podróż prawdziwa, na pełne morze, pod brzegi Anglii lub Szkocyi, dość długo więc trwać mająca, z której nie zawsze wszyscy wracają. Celem jej naturalnie połów ryb, stanowiący główne źródło utrzymania niezamownej ludności tutejszej i udział w niej biorą wszyscy mężczyźni. Zaciekawiona tem wszystkiem, nazajutrz od samego rana pobiegłam na brzeg, żeby być obecną odpływowi łodzi. Wielkie, jedno, i dwu masztowe, zwane *goëlettes*, grubo z wewnątrz i zewnątrz smołą pociągnięte, kołyszą się o kilka staj od brzegu, gdzie wyległa cała ludność rybacka. Brnąc w wodzie po pas czasem, dostają się rybacy do swych łodzi, układają w nich liny, naciągają grube płótno na żagle, znoszą zapasy żywności, jednym słowem przygotowują się do drogi razem ze swoją załogą, złożoną z 5 do 8 ludzi. W tem pracowitem krzątaniu dopomaga im cała rodzina, wszyscy ciągle tam i napowrót z chaty na brzeg biegają, ciągle coś nowego przynosząc. Wreszcie nie już nie brak, krótkim, mileczącym uściłkiem żegnają rybacy najbliższych, których ten lub ów nigdy

już może nie zobaczy i wsiadłszy do łodzi,* kończą jeszcze przygotowania do podróży.

Wtem jedna z żon przypomina sobie, że ma coś do powiedzenia mężowi, porywa ją rybak, na barana, jak to się u nas mówi i przenosi do łodzi, a po niejakić chwili, tym samym sposobem znowu na brzeg odnosi. Już są niedaleko, gdy nadbiegająca fala o mało co z nóg nie ścięła obojga, kobieta z pierwszćj chwili krzyknęła, potem roześmiała się głośno, a za nią wszyscy widzowie z brzegu asystujący tym oryginalnym przenoszeniem i wesołe wybuchy śmiechu rozległy się wśród kobiecćj gromadki, a wtórował im z łodzi niemniej wesoły śmiech rybaków. Gdy jednak dano ostatni sygnał i łodzie wysuwać się zaczęły na morze, zrobiło się odrazu cicho... eichuteńko! Kobiety posiadały na brzegu i patrzyły, póki nie znikły im z oczu wątle te statki, na pokładzie swoim, najdroższych sercu unoszące, a potem powoli, w milczeniu zaczęły powracać do opustoszałych domów. I ja też smutnie się zadumałam nad niepewnością rybackićj doli, ale wiem, że dla wierzących jest zawsze przystań bezpieczna i że czuwa nad nimi Gwiazda, od wszystkich latarni jaśniejsza...

Cały dzień spędziłam spokojnie przy robótce, na rozmowie w rodzinnem kółku, w którem zebrani jesteśmy dość licznie, bo, jak wam donosiłam, przybyliśmy tu głównie dla spotkania się z krewnymi, od lat dwudziestu osiedlonymi we Francyi. Nie mam wśród nich żadnćj młodćj, w moim wieku towarzyski, ale mimo to czas przyjemnie mi schodzi, bo obie ciocie, wuj, mąż jednćj z nich, a brat drugićj, mają dużo ciekawych rzeczy do opowiadania o Francuzach, o ich oszczędnym trybie życia, o niezmordowanćj pracowitości klas średnich, w których kobieta najczęścićj obywa się bez służącćj. Powiadają więc, a ja słucham, zastanawiam się, porównywan, często myślą do was zabiegnę i czas mi schodzi przewybornie.

Nad wieczorem odwiedza nas polska rodzina, z W. Ks. Poznańskiego przybyła, z którą świeżo zawarliśmy znajomość. Jest tam panienka oemnie młodsz, dawna czytelniczka Wieczorów, które bardzo serdecznie wspomina, żałując, że odkąd doszła lat „staruszeki” przestała je czytywać. Ja naturalnie nie zdradzam się przed nią z tem, że jestem „Gołąbką” i uchodzę za zwyczajną czytelniczkę, ale i tego już dość, abyśmy szczerze z sobą sympatyzowały.

Prócz odwiedzenia nas mają jeszcze te panie cel inny: oto zapytują nas, czybyśmy nie przyjęli jutro udziału w zamierzonćj przez nich wycieczce wzdłuż wybrzeża. Pojedziemy do Blankenbergu, gdzie matka mojęj rówieśniczki potrzebuje zobaczyć się z lekarzem, a ztamtąd udamy się na zwiedzenie nieznanym mi jeszcze miejscowości, do których dostaniemy się kursującym na linii pobraża tramwajem parowym, *chemin de fer vicinal*.

Mama chętnie się zgadza, ciocie i wuj przystają, mnie nikt o zdanie nie pyta, ale nikt też o zgodzie mojęj na projekt nie wątpi i staje na tem, że nazajutrz rano jedziemy.

Budzę się, pogoda przesliczna, morze mieni się w słońcu lazurem i szmaragdami, ruszamy więc w najlepszym humorze do Blankenberghe, gdzie porada u lekarza trwa bardzo długo tak, że zostaje nam cały pogodny dzień wrześnieowy do rozporządzenia. Po niejakiem wahaniu staje na tem, że ponieważ wszyscy lubimy ruch i możemy dużo chodzić bez zmęczenia, pojedziemy więc do Middelkerke piechotą, co nam zabierze parę godzin. Śliczny projekt. Wesołoruszamy w drogę, mijamy szereg hoteli, *parc aux huîtres*, miejsce gdzie się poławiają ostrygi) potem letni pałac króla Leopolda i ieniej schludne, malownicze wioski. Na miasteczka ze strzelaja-

steśmy już na wsi nad samem morzem. Po jednćj stronie płaszczynę ładu zasłania nam wał jasno-żółtego piasku, który ciągnie się w dal aż do granicy Francyi i stanowi to, co Francuzi „*les dunes*” nazywają, z drugićj strony mamy morze, ponad którem idziemy wąziutką, piaszczystą ścieżyną. Gdy morze odpłynie, zamieni się ona w szeroką, dla powozów dostępną drogę, po którćj goście kąpielowi paradują czasem i na osiolkach, męczących się mniej łatwo od koni. Po drodze mamy Mariakerke; cały szumnie zwany „zakład” stanowi



WYBUCH ETNY.

jeden jedyny hotel, pod którego werendą spożywają śniadanie wszyscy razem lokatorowie, niby zgodna gromadka rodzinna. Mijamy hotel i znowu ta sama monotonna droga: piaski i piaski, wałem szerokim leżące, ani drzew, ani domów, ani nawet ludzi nie widać...

Znudzone, wdrapujemy się ze „staruszką” na wał i... wydajemy okrzyk radosnego zdziwienia, bo z wału śliczny widok roztacza się przed oczyma naszymi na ogromną, żyzną równinę „malowaną zbożem rozmaitem”, na rozrzucone na niej schludne, malownicze wioski. Na miasteczka ze strzelaja-

cemi w niebo wieżyczkami kościołów, na linię parowych tramwayów, na mieszkanie straży, która z tego miejsca dozoruje, telegrafu podwodnego, łączącego ład stały z Anglią. Zachęcone naszym przykładem, starsze panie wchodzą na wał przy pomocy wuja oraz parasolek i na ogólne żądanie zasiadamy wszyscy na wale dla wypoczynku. Jeść mi się chce ogromnie, czego wuj się domyśla, i jak zawsze żartuje z mego apetytu, wzdycha: „Jaka też to szkoda, że krajobrazy nie są jadalne! znam pewną panienkę, która chętnie schrupałaby kawałeczek

cze!” ja skorzystałam ze sposobności i mszcząc się za żarty ze mnie, zaproponowałam: „Możeby wuj schrupał kawałeczek pejzażu?” Ciocie i pani M. w śmiech, mama także nie mogła utrzymać powagi, bo ostatecznie wuj, choć go *wujem* nazywam, nie jest znowu tak bardzo odemnie starszy, ani tak poważny i stateczny, żeby niewinny żarcik miał być uchybieniem dla niego. Nie obraził się też na mnie, bo sam się także śmiać zaczął i przekomarzać ze mną, dowodząc, że chociaż bardzo jest głodny, zachowa jednak pejzaż „dla nienasyconych panienek”. Tak żartując, doszliśmy w najlepszych humorach do Middlekerku, a stamtąd pojechaliśmy do Nieuport-les Bains, o którem już wam mówiłam, że mi się zupełnie niepodobało. Koleją już powróciliśmy do Heystu, pomęczeni ale mimo to zadowoleni z wycieczki, z dnia spędzonego na świeżem powietrzu, który tak miłe pozostawił mi wspomnienie, że jak wszystkiem, co miłe, czempredź się spieszę podzielić się niem z wami.

Nie wiem jeszcze, kiedy wracamy do Warszawy; tymczasem tu odbieram nasze Pisemko i w każdym numerze widzę, że Redakcja „w imieniu nieobecnej Gołąbki” odpowiada tćj lub owćj z kochanych moich siostrzyczek. Nie zapominacie więc o mnie, najdroższe? List mój niech wam będzie dowodem, że wszędzie i zawsze pamięta o was sercem wam oddana.

Gołąbka.

Święty, nauczyciel młodzieży.

Przyjacielem był i mistrzem uczącćj się młodzi, a wzorem jćj i patronem pozostał na zawsze święty Jan Kanty, którego uroczystość Kościół katolicki obchodzi dnia 19-go października. Urodził się on w roku 1397 zmarł w 1427, a w końcu zeszłego wieku przez Papieża Klemensa XIII w poczet świętych został zaliczony.

Galicyjskie miasto Kęty jest miejscem rodzinnem św. Jana, który jako mąż niezwyklej cnót i światobliwości, jako uczony profesor, sławny mówca i kaznodzieja w całym świecie chrześcijańskim znany był pod imieniem Jana z Kent.

Z domu bogobojnych rodziców, młodym chłopięciem św. Jan przeszedł do Akademii krakowskiećj, gdzie najpierw pośród rówieśników swoich pilnością i najlepszymi obyczajami zajaśniał, a później został profesorem. Otrzymawszy święcenia kapłańskie, odbył pieszo z dwoma towarzyszami pielgrzymkę do Ziemi Świętćj i do Rzymu, później był proboszczem w Olkuszu. Lecz wnet prosił biskupa o pozwolenie powrotu na katedrę profesorską, gdyż praca przy kształceniu młodzieńszych serc i umysłów była mu najmiłszą.

Do czynów swoich św. Jan Kanty stosował zawsze te zasady chrześcijańskie, które wygłaszał. Miewając ówczesnym zwyczajem naukowe, publiczne dysputy, częstokroć wiedzą przewyższał, a pięknoscia i siłą przekonywającćj słuchaczów wymo-

wy, przyémiewał innych mówców. Nie pysznił się jednak nigdy z wyższości swego umysłu, ani z daru słowa: uczony profesor, sławny teolog i kaznodzieja cichy był i pokorny, jak prostaczek.

Miłosierdzie, ofiarność Jana z Kent nie znała granic. Raz, w zimie spotkał ubożego boso; bez wahania zdjąwszy z nóg obuwie, oddał je biedakowi, a płaszcz spuścił do samćj ziemi, aby swój miłosierny uczynek skryć przed oczyma przechodniów. Kiedyindziej, gdy św. Jan z uczniami swojemi siedział u stołu, żebrak przez otwarte okno prosił go o jał-

„pejzażu”. Udaję, że nie wiem o kim mowa i nie nie odpowiadam na wujowskie docinki. Ciocie uśmiechają się nieznacznie, wtém ku wielkiemu mojemu zdziwieniu wuj rozwija jakąś paczkę, o którćj myślałem, że jest pudełkiem cygar i częstuje nas wybornymi tartinkami, poczem starsze panie wydobywają każda jakąś paczuszkę i niespodzianie składa się wcale sute śniadanko. Wszyscy zajądają z apetytem, a wuj z nie mniejszym od innych, aż wreszcie, gdy wyciągnawszy rękę po biskopt angielski, którego już nie znalazł w torbie, skrzywił się bardzo komicznie, mówiac: „O! szkoda! zjadłbym iesz-

mużnę. Święty Jan oddał mu swoją porcję. W tej chwili stał się cud: przed świętobliwym kapłanem pojawiła się inna porcja, tejże samy potrawy, którą on, odmówiszdy dzięczynną modlitwę, spożył. Na pamiątkę tego cudu, przy stole profesorów akademii, codziennie zasiadał ubogi. Służący oznajmiał jego przybycie, mówiąc: „ubogi przyszedł”. A najstarszy z obecnych odpowiadał: „Chrystus przyszedł”. Ten piękny, chrześcijański obyczaj utrzymał się bardzo długo.

Nietylko nędza, lub niedostatek, ale każdy kłopot, każdy frasunek bliźniego, obudzał w świętym Janie współczucie i chęć zaradzenia złemu.

W pewien pogodny, słoneczny poranek czerwcowy, spotkał na rynku młodą, płaczącą wieśniaczkę; upuściwszy dzban z mlekiem stłukła go i bała się gniewu swej pani, która ją na targ wysłała. Święty Jan zebrał rozrzucone po ziemi skorupy i pomodliwszy się, uradowanej i zdziwionej dziewczynie, oddał cały dzban, a gdy za jego rozkazem w naczynie naczepała wody z rzeczki Rudawy, znakiem krzyża św. tę wodę w mleko przemienił.

Niepodobna przytaczać wszystkich cudów i świętobliwych czynów Jana z Kent, które ksiądz Piotr Skarga w żywotach świętych szczegółowo opisał, powiemy tylko jeszcze parę słów o zasadach, które w serca uczniów swoich usiłował wszczepiać.

„Prawdę miłujcie nadewszystko!” — zalecał on, który o ile całą mocą swej duszy kochał prawdę i sprawiedliwość, o tyle znów brzydził się obmową i fałszem! Na ścianach komnaty, gdzie odwiedzających przyjmował, kazał umieścić łaciński napis: „Strzeż się czernić bliźniego, gdyż pod ciękiem grzechem musiałbyś to odwołać”.

I rzeczywiście, cóż jest piękniejsze, godniejsze czci nad prawdę?... Co nędzniejsze nad obłudę i obmowę?... O bliźnich, w ich nieobecności powinniśmy zawsze tak mówić, jakbyśmy pragnęli, aby o nas mówiono; a dobre imię, ten najcenniejszy skarb człowieka, równie łatwo plami obmowa, jak błoto i pył szybko brudzą cudny kwiat lilii śnieżystej białości. A więc: kochajmy prawdę, a wystrzegajmy się obmowy!

W INDYACH.

(Dalszy ciąg).

— A prawda! — Mahora wziął do ręki zegarek, nie zdejmując łańcuszka z szyi dzikiego, na co tenże nie byłby pozwolił, nakreślił wiszącym kluczykiem, i przykładając Indianinowi do ucha zapytał:

— A co!... — najwyższe radosne zdziwienie odmalowało się na twarzy dzikiego:

— Prawda! Jest muzyka! naszyjnik z muzyką! — zawołał... wtem nagle błysk pewnej inteligencji rozjaśnił jego rysy zdumieniem napiętnowane:

— Aha!... już wiem — rzekł — ten naszyjnik to jest fortepian!...

— Ciekawa rzecz, gdzie on zasłyszał o fortepianie? — odezwał się Carré.

— O! wielka mi rzecz; mało to fortepianów przywożają tu ludzie okrętami, dla żon i córek nababów lub panów europejskich, rozwożą je potem z końca w koniec półwyspu i każdy prawie dziki może słyszeć o nich — rzekł Mahora.

Tymczasem postępowano dalej, przekonawszy się że oddalenie dzikich pozwalało na to, nie było ich teraz wcale słychać, tylko „wielkie zwierzę” słoń jak się domyślano na pewno, zbliżał się wraz z kilku ludźmi i psem:

— Aha!... pies należy do tych ludzi, a oni nie są dzikimi, bo pies szczeka na dzikich a panom się łasił — domyślali się Indianie, wiedzący ciągle wyprawę w rzeczywistości, mimo że nie brakowało ani kapitana, ani komendanta.

— Słuchaj — spytano znów dzikiego — w czasie bitwy przy rangorskiej zatoce, gdy twój ziomek unosił białą dziewczynę, jej brat chłopak biały, taki młody jak ty, gonił za nią i goniąc wyprzedził nas wszystkich, bo przypadkiem najbliższy się znajdował gdyśmy ją spostrzegli; znikł nam potem z oczu wtedy gdy i ona znikła porwana: czyś ty go później nie widział?

— Widziałem, ci, którzy porwali białą dziewczynę, wzięli w niewolę i białego jej brata.

— A potem?... co się z nim stało?...

— Nic; idzie tam przed nami, związany wśród moich braci do Tungara.

— Dlaczegoż nie widać po drodze śladów jego, jeżeli idzie? Może go niosą? Może ranny?

— Nie ranny, nie niosą go, idzie.

— Dlaczegoż więc nogi jego nie zostawiają śladów? — dziki, daleko rozmowniejszy teraz, milczał jednakże przez chwilę, gdyż mocno był zajęty uczepianiem zegarka u włosów i ozdób swej głowy, w taki sposób, aby mimo pozostającego łańcuszka na szyi, zegarek sam wisiał tuż przy lewym uchu. Nareszcie dokonawszy tej sztuki, zwrócił na pytającego błyszczące jak węgle oczy:

— Czy biały chłopak odmiennie ma nogi od tutejszych chłopców, że chcecie je poznać po śladach? Jest tam wielu takich chłopców jak ja!

— Nie; on ma nogi podobne do twoich, ale ma stopy obute grubym i odmiennym od bardzo wielu obuwiem, którego ślady łatwo poznać można.

— Prawda, miał coś pięknego na stopach, ale teraz nie ma — objaśnił dziki — odebrano mu to obuwanie natychmiast, gdy go schwytano, na pierwszym przystanku; chciał je włożyć każdy, i włożyło wielu, ale chodzić w tem nikt nie mógł, danó, więc pokój, i dwóch naszych niesie je zawieszone na długim kiju, tak właśnie jak wy mnie niesiecie.

— Ach... Edward boso idzie... przeto trudno rozpoznać ślady stóp jego, wśród mnóstwa innych! — domysłono się wreszcie i rozpaczliwy ból w sercach kochających, ukoił się trochę przynajmniej.

— No, a więc teraz, gdy pewni jesteśmy że mamy przed sobą złoczyńców wraz z obojgiem pochwyconych jeńców, wart będę dostać kulą w łeb, jeżeli w ciągu dwudziestu czterech godzin, nie naprawię tego co sam zepsułem i dzieci panu nie oddam! — rzekł stanowczo i głośno kapitan Lory do Mac-Ulma.

Jakby w odpowiedzi na tę przechwałkę, Wilko, który jej słyszeć nie mógł, znajdując się w pewnej odległości na czele pochodu, stanął, przywołując do siebie dwóch towarzyszy i żywa rozpoczęła się między nimi narada, do której natychmiast przyłączyli się panowie. Zachodziła okoliczność, że nagle zmieniło się położenie okolicy i subtelne echa podsłuchiwanie indyjskimi uszami u ziemi, ustały odrazu, co niesłychanie utrudniało pogon. Zamiast zwykłych lasów lub zarośli poprzeryzanych strumieniami, znajdowano się teraz w pustyni spieklonej, bez wody, bez ożywczych leśnych owoców. Dotąd, podróżni szli mniej więcej z powrotem temi samymi szlakami, którymi niezbyt dawno przybyli na wybrzeże morskie, ale teraz, w punkcie w jakim się znajdowano obecnie, dzicy za którymi dążono zmienili nagle kierunek. Prawdopodobnie, nie potrzebując ukrywać się w lasach jak to czynić musieli obawiający się ich Anglicy, krajowcy skracali sobie drogę przecinając piaszczystą pustynię.

— My tedy zawsze chodzimy do morza, a w tej chwili moi bracia śpią i dla tego ich stąpania nie słychać — objaśniał młody dziki z „fortepianem” zawieszonym przy lewym uchu. Tłómaczenie to było bardzo godnem wiary. Indianie dzicy, tak niesłychanie wytrzymali na ból i trudy, i szybkobiegacze niestrudzeni w razie gwałtownej potrzeby, lubią jednakże, jak to już wspomniano wyżej, wynagradzać sobie dziesięćkrotnie wszelkie wysiłki; jeżeli zaś skracają drogę, to nigdy w celu zyskania na czasie, jakby to z pewnością Europejczyk uczynił, tylko dla oszczędzenia sobie trudu, zatem, im droga krótsza, „tem dłużej idą, ponieważ śpią i spoczywają bez miary, byle tylko nie gnał ich postrach śmiertelny. Jestto mniej

cięcej zawsze taż sama stara bajka o wyścigach żółwia z żółcią, który podróż swą w drodze zasypia. Mimo te, wszystkie rozsądne względy, podróżni pragnący na ten raz koniecznie wyjść ze sprawy zwycięsko i stanowczo, drżeli w niepewności co do obrotów nieprzyjaciół. Zapewnienia „fortepianisty” jak go wnet służba i majtkowie przezwali, jakkolwiek zdawały się wiarogodne, przecież nikogo ufnością natchnąć nie mogły. To też, choć wcale pod tym względem nie porównywano się z sobą wzajemnie, jednak niezmiernie miłe były wszystkim coraz bliższe wesołe naszczekiwanie psa, ku czemu oddawna już nie potrzeba było u ziemi podsłuchiwać, i tylko skaliste wyrwy i wzgórza nie pozwalały widzieć go dotąd. Po głosie szczekania, łatwo można było poznać, że pies towarzyszył panu, któremu ufał i że usiłuje prowadzić go do ludzi, których uznał również za godnych zaufania. Szczekał bowiem wcale inaczej jak wtedy, gdy z najeżoną sierścią stał obok wstrętnego sobie dzikiego wyrastka. I oto z poza nagiętej rozpalonej skały wyskoczył wreszcie z bujnym kiciastym ogonem podniesionym wesoło w górę, z czerwonym językiem wywieszonym od niechęci, wyglądał niebardzo strudzony, ale mocno przejęty obowiązkami swemi. Poskoczył gwałtownie Anglików machając ogonem, otarł się o Thornę, drapnął przyjacielsko łapą po rękę Mac-Ulma, wspiął się i grube łapy wsparłszy mu na ramionach lisnął serdecznie w policzek Franka i pognał napowrót: i oto panowie jego ukazali się już także z za skały, byli to muzułmanie widocznie, w jaskrawych turbanach, w białych długich sukniach, jeden mały, drugi wysoki, obaj w sile wieku, tuż za nimi zarówno mądry lecz o wiele poważniejszy od psa przyjaciel, szedł swobodnie choć objuczony ciężko, z rozumem wejrzeniem i łagodnymi ruchami, drugi przyjaciel ludzi, Pies biegając bezustannie ze znaczącym naszczekiwaniem, od swych panów do nowych znajomych, zdawał się mówić, a raczej mówił wyraźnie w psim języku:

— A no prędzej-że, ach prędzej, ludzie porozumiejeć się i pomóżcie sobie, bo czuję, że potrzebujecie się wzajemnie, a ja przecież ku temu robię wszystko co mogę.—I nagle wypadł do ziemi, śledząc bystrym wzrokiem poruszenia panów swoich z lewej i obcych snadź miłych mu ludzi z prawej strony. Nie zawiódł się na ten raz w pragnieniach swoich. Anglicy, Francuzi i kupcy tureccy porozumieli się bardzo prędko.

— Przychodziecie z Tungara? — spytał kapitan.

— Przychodzimy z dalszych stron, ale przebywaliśmy istotnie Tungara, i teraz idziemy ztamtąd najkrótszą drogą.

— Najkrótszą?... A więc musieliście chyba spotkać gromadę dzikich tuziemców?...—Dwaj kupcy spojrzeli na się wzajemnie, potem na psa łaszącego się nowo-spotkanym ludziom, potem na słonia, który na to pytające spojrzenie lekkiem skinieniem głowy odpowiedział, patrząc bystro a łagodnie na Anglików. Po takim milczącym lecz wyrazistym porozumieniu się czterech starych przyjaciół, wyższy z dwóch Turków rzekł.

— Czujemy że jesteście uczciwi ludzie, nie pragniemy krzywdy nikomu i dla tego odpowiadać wam szczerze będziemy. Tak jest, spotkaliśmy sporo uzbrojonych krajowców o ćwierć mili ztąd. Gdy przechodziliśmy koło nich zabierali się właśnie do wieczery.

— Nie było między nimi dziewczęcia i chłopca, Europejczyków?

— Dziewczęcia?... nie widziałem; chłopca... chłopiec był; młody bardzo chłopiec odarty z sukien i przywiązany do roztraskanego pnia.

Indyanie zamienili z sobą szybkie jak błyskawica wejście.

— Skoro widzieliście i spotkaliście ich, a zatem czy nie chcielibyście zaprowadzić nas do nich?

— I owszem; tylko że idziemy w przeciwnym kierunku, przychodzimy właśnie ztamtąd, i oczekują nas znajomi w najbliższym mieście.

— Lecz my was prosimy, podprowadźcie nas do obozowiska spoczywającej dzikiej gromady, gdyż składa się ona z rozbójników, którzy ukradli nam chłopca i dziewczynę w ce-

lu sprzedaży, i gonimy ich oto od trzech dni, napróżno wypatrując takiej chwili i takich okoliczności abyśmy mogli rzucić się na nich, z jaką taką nadzieją zwycięstwa!...

— Hm, hm... — mruclili kupcy spoglądając na psa i słonia.

— Nie prosimy was zresztą wcale o tę przysługę za darmo — podchwycił Thorn — czy doprowadzicie nas do nich ostrożnie tak, abyśmy mogli widzieć a nie być widzianymi, za cenę trzydziestu rupii?

Dwaj ludzie najprostszy wędrowni pod słońcem kramarze, aż się cofnęli na takie pytanie, wszystko co posiadali, skupując w przebywanych miasteczkach a sprzedając w wioskach, niewarte było trzydziestu rupii, chyba wraz ze słoniem, który znów chociaż ze starości prawie niewidomy, był przecież nieoszacowany jako przyjaciel, zarówno jak pies.

— Będziemy się starali służyć wam jak tylko potrafimy — powiedzieli kupcy. Niechaj będzie wszystko tak, jakżeście wyrzekli.

X.

— Idźmy tedy, jeżeli chcecie, wiemy z pewnością gdzie oni obozują, zatem tą oto skalistą rozpadliną potrafimy was doprowadzić do nich tak, że nie będziecie widziani — powiedział kramarz.

— Może, ale stąpanie waszego słonia niechybnie usłyszanie będzie.

— Nie; ponieważ nikt się tam nie zajmuje nadśłuchiwaniem, gdy nie spodziewa się zasadzki lub napaści, a właśnie ci, którzy idą przed nami, nie spodziewają się jej wcale, co łatwo poznać z ich swobodnego zachowania się. Zresztą, jeżeli chcecie, jest jeszcze inny sposób, rozbójnicy ułożyli się w tej chwili na spoczynek i ani myślą o walce, my zaś znając całą okolicę jak własne pakunki, doprowadzimy was do nich w ciągu pięciu minut, jeżeli zechcecie pospieszyć w biegu; słonia pozostawimy tu pod strażą psa, a psa pod opieką słonia, który nie mógłby przejść tak, jak my potrafimy.

— A więc idźmy!... druga podobna chwila może się nie nadarzyć, przed dośściem do Tungara! — zawołano i puszczono się szybko za jednym z kupców, licząc głównie na nieopatrność, a raczej na niedbalstwo nieprzyjaciół.

— Towarzysze!... baczność! lecz strzeżmy się strzelać aby nie ugodzić niewinnych, na bagnety!... — zawołał młody kapitan, i nagle wypadli wszyscy z pośródka olbrzymich wawozów i skał, rzucając się na Indyan, którzy, słysząc już wyraźnie nadbiegających, zerwali się w najwyższym poplocu, gotując się do ucieczki, nie myśląc nawet walczyć na widok zbrojnych. Rozproszyli się na wszystkie strony i zniknęli w mgnieniu oka. U jednego z niewielu drzew, osłaniających maleńkie źródło, przy którym obozowano, stał przykrępowany doń ljanami, odarty z odzieży Edward.... Ani on sam, ani nikt nigdy nie wiedział, kto mianowicie przeciął jego więzy, bo w uniesieniu radości wszyscy razem ku niemu się rzucili: brat, młodzi przyjaciele, ojciec i słudzy, Tylko kapitan i pan Thorn, widząc że tutaj ich pomoc jest już nie potrzebna, wołali na swoich:

— Naprzód! naprzód!... ściągajmy zwycięzców, szukajmy porwanej panny Mac-Um!... — i rozpraszając się, ściągali zapamiętałe.

— Edwardzie, bracie, braciszku drogi! Mój synu! Ojcie!... — takie urywane wyrazy dawały się słyszeć tymczasem, wśród otaczających Edwarda, odzianego w jedną chwilę, może niezbyt wykwintnie, ale zupełnie przyzwoicie, gdyż każdy bez poprzedniego porozumienia podawał mu zdjętą z siebie jakąś część odzienia. On ścisnął wszystkich, ubierając się spiesznie wołał:

— A broń?... broni!...

— A Klara? Nie widziałeś Klary? — pytano.

— Widziałem, mówiłem z nią nawet, ale gdy tylko zwycięzcy spostrzegli że rozmawiamy, rozbiegli się, idąc do drzew na dwóch końcach swego obozu.

chwilą jeszcze tam była, lecz za pierwszym popłochem na wasz widok, pochwycił ją znowu ów okropny stary dziki i uniósł jak dziecko.

Jakkolwiek Edward wskazywał kierunek i wszyscy ścigali usilnie, przecież dzicy i na ten raz dowiedli, że w chwilo-
wej pogoni mają zawsze przewagę, zwłaszcza w znajomój
sobie a nieznanój ścigającym okolicy, gdzie każda wydrą-
żona skała, mogła się dla nich zamienić w niedostępną kry-
jówkę. To też po niejakiem czasie wszyscy wracali do punktu,
z którego się rozbiegli, ale bez Klary, nie ujrawszy jej na-
wet, lubo dali się dzikim porządnie we znaki.

Na ten raz młody kapitan rozgrzany bojem, nie czuł się
przygnębnym tak, jak po poprzedzającej walce.

— Niema ani chwili do stracenia! — zawołał do groma-
dzących się, około niego towarzyszy i podwładnych — droga
przed nami wytknięta, spieszymy do Tungara!... bezzwłocz-
nie!... zanim złoczyńcy zdążą, dobiegłszy tam, wzmocnić się
lub uciec w lasy wraz z rodzinami.

— Ależ w takim razie niech tylko najsilniejsi pędzą na-
tychmiast... — zauważył Mahora.

(d. c. n.)

ROZMAITOŚCI.

Nowy alfabet. Słyszeliśmy wszyscy o pół bajecznych
Kadmusach, Thotach i t. p. wynalazcach alfabetu, o św. Cy-
rylu, wynalazcy alfabetu, zwanego *kirylicą* wiemy także, ale
jedynym przykładem alfabetu w naszych czasach ułożonego,
jest ten, który Cherokeezi, plemię indyjskie, zamieszkujące
północną Amerykę, zawdzięcza swemu współplemiennikowi
Sequoyah. Urodzony z matki Indyjanki, a ojca Anglika
i przez Anglików zwany Jerzy Guess, widywał może książki,
ale czytać nie umiał wcale i bez niczyjej zupełnie pomocy
wpadł na pomysł oznaczenia odrębnym kształtem każdego
z dźwięków składających mowę rodzinną, co, jak wiecie, sta-
nowi istotę alfabetu. Ubogi bardzo i w pokoleniu swoim
wszelkiego znaczenia pozbawiony, gdy udał się do wodzów
plemienia z oświadczeniem, że „książki robić nauczy” ci wy-
śmieli go i nazwali szaleńcem, takie samo mniemanie miała
o nim żona, która niszczyła zapisane znakami kartki papieru,
szmatki tkaniny, oraz tym podobne materyały piśmienne, ja-
kiem mógł rozporządzać Indyanin, żyjący w stanie pół dzikim.
Niezrażony niepomyśleniem, pracował dalej nad udoskonalen-
iem swego pomysłu, aż gdy wszystkie dźwięki mowy ujął
w odrębne kształty i utworzył zupełny alfabet, złożony z sześć-
dziesięciu różnemi głoskami, znowu udał się do starszych plemie-
nia, chcąc przekonać ich o skuteczności swego wynalazku,
przyrzekł im opisać i odczytać słowa przez każdego z nich
z osobna wypowiedziane. Zdziwiła się bardzo starszyzna,
gdy Sequoyah kadenku z nich po kolei powtórzył wiernie wy-
razy, które z ust ich posłyszał i wtedy dopiero uwierzyli, że
jest on w stanie „robić książki” takie same, jakie u Anglików
widywali. Dzięki więc pomysłowości Jerzego Guess, Cherokeezi
jedyni z plemion Ameryki północnej, mają swój własny alfa-
bet, najpiękniej powstały ze wszystkich na kuli ziemskiej istnie-
jących.

SZARADA.

(przez Ewę Maryę).

Już ja sobie *drugi, czwarty*,
Jako dziarskie chłopię,
Macham kosą nie na żarty,
Ziemie orzę, kopię.

Pracą zajrzę w oczy nędzy;
Mam ja trzosik spory!
Czwarty niech mi da pieniędzy,
Choćby ze trzy wory!

Ale gdzież tam! za ten świstek,
Com wziął za robotę,
Sprawdziwszy rachunek wszystek,
Dostanę trzy złote!

Bogdajże cię! aż mi smutno!
Pójdę więc do ludzi;
Gdy tam grajki w skrzypkę utną,
Radość się obudzi.

Będę tańczył, będę śpiewał,
I raz mnie, raz tobie
Z *trzech, czwartych* miód nalewał,
Bom ja *wszystek* sobie!...

Zadanie liczbowe.

Zapełnić kratki liczbami w ten sposób, ażeby po zlicze-
niu w każdym trzech kratkach tak z góry na dół, jak w po-
przek wypadała summa 33.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 43-go.

Szarady:

Kan — ta — ry — da.

Łamigłówki zgłoskowe:

1. JokaJ. 2. ArnO. 3. NawarrA. 4. MeraN. 5. AjaN.
6. TekA. 7. ElberfelD. 8. JawA. 9. Kolmar. 10. Owoc.

Jan Matejko — Joanna d'Arc.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TRESC: Humak posłany (z drzew.) — Zwycięstwo Pawelka p. Halinę Tokarzewską. — Wybuch Etny (z drzew.) — Korespondencya
Wiedźmów rodzinnych. — Święty, nauczyciel młodzieży. — W Indyach. — Rozmaitości. — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:**
Młodość (z drzew.) — Wnec, przedstawienie w przeddzień imienin ojca. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów.
Dodatek księzkowy: Druga matka, powieść dla dorastającej młodzieży p. Bronisławę Porawską (autorkę „Reginki”).

MIŁOSIERNIE.

Karolek małym był jeszcze chłopczyką kiedy go z domu oddano na naukę, a wprawdzie jeszcze do pomocy i obsługi pewnemu stolarzowi do miasta. Ojciec jego będąc gajowym w lesie o kilka wiorst oddalonym, stracił bowiem niedawno żonę, a mając kilkoro drobnych dzieci i bardzo małe wynagrodzenie za swą pracę, znalazł się nagle w wielkiej nędzy. Matka staruszka dopomagała mu wprawdzie do wychowywania wnucząt, ale nadto, słaba już i w podeszłym wieku, nie mogła się niczem przyczynić do zmniejszenia niedostatku. Skoro

Karolek nie posiadał się z radości. Tego dnia którego miał iść, wyruszył w drogę o świcie, i przykro mu tylko było niezmiernie, że będąc tak małym niepotrafił jeszcze zarobić nawet kilku groszy i nie mógł zanieść do domu, bodaj najmniejszego upominku.

Właśnie zajęty był cały smutkiem i myślą o tem, gdy oto wychodząc już prawie z miasta spostrzegł, jak jakimś człowiekowi pędzącemu stado owiec, zakupionych na zabicie, jedna nagle zasłabła i nie mogąc iść dalej położyła się na środku drogi. Sądząc iż może się przydać w czem nieznanemu, podbiegł do niego, wtedy gdy tenże nachylony nad zwierzęciem, oglądał je uważnie.



zatem najstarszy Karolek skończył lat dziewięć, chociaż wątki i mały jeszcze, za poradą jednego z sąsiadów został wysłany do terminu, by zawczasu wkładać się i przypatrywać owej pracy, która choć ciężka i mozolna wywalcza ludziom niezależność w świecie, i tę pewność życia, jaką daje tylko chleb w ręku. Z początku wprawdzie serce rwało mu się gwałtem do domu, z trudnością powstrzymywał łzy na wspomnienie téj ciasnej izdebki pod lasem, gdzie choć nieraz o chłódzie i głodzie, miliej mu było i więcej swojsko niż u obcych w dostatku, ale chłopczyka dobrą miał naturę; z tęsknotą swą nie wydawał się przed ludźmi, którzy często ocenić ję nie umieją, a doszedłszy do przekonania, iż nic tak bólu nie ukoi jak zajęcie, oddał się pracy z całym zapałem.

Upłynęło tak kilka miesięcy, aż majster zauważywszy tę gorliwość w pracy chłopca, pozwolił mu w nagrodę pójść odwiedzić dom ojca.

— Co ję się mogło stać, proszę pana? — zapytał grzecznie uchylając kapelusza.

— A Bóg ją tam wie — odparł nieznajomy — idzie kawał drogi, to się musiała zmęczyć, a może też jaka choroba ję się czepiła, owce teraz zdychają...

To powiedziawszy poruszył ją jeszcze nogą i gotował się do odejścia.

— Jakto, pan myśli odejść i zostawić ją tutaj? — zawołał, widząc to Karolek.

— A cóż, mam ją może nieść na ręku — odburknął niehumaniczny ten człowiek — pewnie że ję nie wezmę dalej, jeszcze inne gotoweby od niej zasłabnąć, zresztą niewiele już ję się należy...

— A mój Boże! biedne stworzenie! — żałował chłopczyka, nie mając jeszcze serca porzucić je, za przykładem nieznajomego, który za chwilę był już ze swym stadem daleko.

Długo tak medytował aż przyszło mu na myśl, czyby nie przynieść jęj czasem wody. Studnia była bliżuchno, poskoczył więc ku nięj i zaczerpnąwszy świeżęj wody w kapelusz, przyniósł ją swęj pacyentce. Wprawdzie kłopotu miał niemało, bo zanim doniósł, prawie wszystko wyciekało przez liczne otwory starego kapelusiny, ale jakoś po kilku razach, kiedy napiła się do woli, z radością spostrzegł jak zwolna otworzyła najpierw powieki, potem podniosła się z ziemi, a oglądając się widocznie za resztą towarzyszek, poczęła beczyc żałośnie. Oczywiście całą przyczyną osłabienia nie było nic więćej, jak tylko wielkie utrudzenie i pragnienie. Skoro chłopczyna ujrzał, iż mogłaby już o własnych siłach puscic się w drogę, podszedł do kilku pracujących przed domem stróżów rozpytać się czy nie widzieli czasami, w którą stronę udał się ów człowiek pędzący stado. Lecz ku wielkiemu jego zmartwieniu, nikt nie był w stanie dać mu dobrej wskazówki, bo nikt tego nie zauważył. A tymczasem owca jakby czując wdzięczność dla swego dobroczyńcy, biegła wciąż na nim jak piesek.

— Ha, chłopcze — odezwał się w końcu jeden z ludzi którym opowiedział całe zdarzenie — kiedy już tak się stało, to zabierz sobie tę owcę, widać było sądzono aby ona była dla ciebie...

— Boć i pewnie! — odparli inni.

— A zkąd ty jesteś, ze wsi? — zagadnął któryś.

— A ze wsi — odparł Karolek.

— A no, to ją bierz jak własną i ruszaj do domu, kiedyś ją sam wykurował, toć już nie czyja tylko twoja, widać już tak Pan Bóg chciał, i koniec — zakończył filozoficznie ostatni.

Na te słowa nasz chłopczyna aż poczerwieniał. Więc wszyscy mówią że ta owca należy już do niego, że ją może zabrać bez obawy przed własnem sumieniem, któreby mu wymawiało, ze czyn taki jest niegodnym! Co za szczęście! Prawdziwie Matka Boska musiała wysłuchać jego żalu nad tem iż przyjdzie z próżnemi rękoma pod ubogą rodzinną strzechę, choćby jęj rad nieba przychylić, i zesłała mu taki cudny dar w nagrodę za jego pocziwe miłosierne serduszko!... I ruszył ku domowi uradowany, oglądając się co chwila za swoim skarbem, co nawet było zbytęczne, bo owca jakby wiedzona przeczuciem iż zostanie tam przyjętą z otwartemi rękami, biegła szybko tuż przy nim. Skoro przyszedłszy do domu opowiedział wszystkim w jaki sposób doszedł do takiego drogiego nabytku, radość była wielka. Młodsze dzieci pieściły się z owieczką, która wcale nie stroniła nawet od nich, a kiedy zaprowadziwszy do stajenki, gdzie miała odtąd zamieszkać, postawiły ją przy samotnym do tego czasu koniku, oboje byli tak zadowoleni ze swego towarzystwa, że ona zabeczała radośnie, a on zarżał na przywitanie miłęj sąsiadki. Wszyscy zatem radzi byli nowemu przybyszowi i odtąd zawsze na Nowy Rok, Karolek dostawał od babci ciepłutki kaftanik z wełny, którą ta sprzedłszy i utkawszy własnemi jeszcze rękami, dawała mu mówiąc:

— To przez wdzięczność za uratowanie niegdys życia, ofiarowuje ci twoja owieczka, miłosierny chłopczyno!

V. Cairo.

WIENIEC.

Przedstawienie w przeddzień imienin ojca.

(Dokończenie).

BRONISIA.

Więc porzucając wady moje dawne,
Biorę oględnosc za godło swe jawne.

(Otrzymuje na opasce trójkąt, poczem Ignas siada na środku, a Stasia tymczasem zbiera głosy innych).

IGNAS (do siebie).

Niechaj co chcą, mówią o mnie,
Ja się bawię cicho, skromnie,
Śpiewam zgodnie, piszę składnie,
A ucze się, jak wypadnie.

STASIA (do Ignasia).

Na poufne do wszystkich o panu pytania
Przynoszę mu życziwe i niechętnie zdania,
Żeś potulny, usłużny, skromny i serdeczny;
Ale przytem leniuszek, niestały i spreczny.

IGNAS.

A więc rzucając na zawsze niestałość,
Biorę sobie za godło niezłomną wytrwałość.

(Otrzymuje na opasce kwadrat. Teraz Ignas zbiera głosy, a Stasia siada na środku i mówi do siebie:)

STASIA.

Bojaźń mię dziś ogarnia na ten sąd zbiorowy,
Doznaje bicia serca i zawrotu głowy,
Czyż mi zarzuca chwiejność, obojętnosc, trwogę?
To nieprawda! ja na to zgodzić się nie mogę!

IGNAS. (do Stasi).

Mówią, żeś pani skromna, staranna i tkliwa,
Lecz trochę obojętna, chwiejna i trwożliwa.

STASIA.

Choć w tych zarzutach jest bład lub niezręczność
Ulegam, bo mem godłem, jest gorąca wdzięczność!

(Otrzymuje na opasce słonce. Następnie Bronia zbiera głosy, a Adalcia siada na środku i mówi do siebie).

ADELCIA.

Jak oni wady moje sądzić mogą,
Kiedy ja chodzę inną od nich drogą?
Bo żem zazdrosna, niespokojna, płocha,
Chyba ten powie, co mię nic nie kocha!

BRONIA (do Adelci).

O tobie krążą wiadomości dwie:
Pierwsza, że cicha woda brzegi rwie,
Druga, żeś korna, bogobojna, rzewna,
Ale psotnica, skryta i niepewna.

ADELCIA.

Uledz tym sądom zmusza mię konieczność,
Więc odtąd godłem będzie mi stateczność.

(Otrzymuje na opasce koło. Dalęj Adalcia zbiera głosy, a Rózia siada na środku i mówi do siebie).

RÓZIA.

Kto mię zgani w kole — za jakie swawole,
Lub za puste słowa,—To niech się w kąć schowa.

ADELCIA (do Rózi).

Wszyscy mówią o Rózi, że jest bardzo grzeczna
Dobra, miła, wesoła, słodka, i serdeczna,

Lecz się czasem niegrzecznie kładzie na dywanie;
A bywa też uparta, maruda, kochanie.

RÓZIA.

Więcej dywan mię nie skusi:
Proszę o grzeczność babusi.

(Otrzymuje na opasce gwiazdę. Poczem Władzio siada na cenzurze, a Zosia zbiera zdania towarzysztwa).

WŁADZIO (do obecnych).

Mówcie, jak chcecie, ja nie mam wad,
Bom jeszcze dziecię, ledwie pięć lat.

ZOSIA (do Władzia).

Mówią, że Władzio jest miły i zgodny,
Ale gość rzadki, i braciszek chłodny.

WŁADZIO.

Odtąd dewizę mam inną:
Za hasło miłość rodzinną.

(Otrzymuje na opasce dwa ogniva).

IGNAŚ.

A co też państwo o Kaziu powiecie?

ZOSIA.

Że sądu няма na tak małe dziecię,
Zresztą jest gładki, pulchny, urodziwy,
Lecz śpioszek wielki, i słodczy chciwy.

(Poczem Józio biegnie ze sprawozdaniem do Kazia, ale za chwilę powraca.)

IGNAŚ.

A teraz, co zrobimy z naszymi godłami?
Czyż my sobie naprawdę poradzimy sami?

ADEL CIA.

Ja nie wiem.

STASIA, BRONISIA, WŁADZIO (po kolei).

I ja — i ja — i ja.

ZOSIA.

To będzie bardzo trudna historyja!

JÓZIO (wróciwszy od Kazia).

A Kazio popadł w śmiech,
Myśli że nie grzech,
Spać lub jeść i pić,
Aby rość i żyć.
Lecz nadzieja w Bogu,
Że wyjdzie z nałogu.

(Poczem Zosia zanoszą Kaziowi godło nadziei, to jest kotwicę złotą na opasce srebrnej, ale sama powraca zaraz.)

ANDZIA (zakłopotana).

Nie wiecie tedy, co począć z godłami?
I podanemi w miejsce wad cnotami?
A mianowicie, jak w czyn zmienić słowa?
Ach! i ja nie wiem!

JÓZIO.

Lecz od czegoż głowa?
Oto pośpieszmy niezwłocznie do dziadzi,
On zna się na tem, a więc nam poradzi!

(Wszyscy śpiewają).

Złote słowa! to mi głowa!

Dzielny brat i syn!

bis { Więc do dziadzi! Niech nam radzi,
Jak myśl zmienić w czyn!

(Z tym śpiewem wszyscy wybiegają na korytarz).

ZAKOŃCZENIE.

(W stołowym pokoju dzieci stają w następującym porządku: Stasia, Józia, Rózia, Andzia, Adelcia, Bronia, Władzio, Ignas i Zosia, a wzięwszy się za ręce, zostają opleceni podwójną szarfą, karmazynową i niebieską, tak, że ich końce Zosia trzyma w lewej ręce zagiętej poziomo, a Stasia tak samo w prawej. Wszyscy zwróceni twarzą ku salonowi, po otwarciu drzwi do salonu śpiewają).

Najdroższy ojcze, w przededniu imienia,
Racz przyjąć nasze serdeczne życzenia
Pełnego zdrowia i życia wiek cały,
Wśród pomyślności, szczęścia, czci i chwały!
bis { Które Ci niesiem we wdzięcznej ofercie,
Z głębi uczucia, gorąco i szczerze!

(Przy rozpoczęciu drugiej zwrotki, wieniec z godłami i wypisanymi w miejsce wad cnotami, dotąd ukryty nadedrzwiami, a wewnątrz oświetlony, spuszcza się powoli, a dzieci tymczasem śpiewają drugą zwrotkę:)

A na wiązanie przyjmij dań powinna
Nadzieję, skromność, łagodność, serdeczność,
I poświęcenie,

(Tu się wieniec odwraca drugą stroną a dzieci śpiewają). Ogłędność, stateczność, wytrwałość, wdzięczność, i miłość rodzinną.

bis { Które Ci niesiem w najmielszej ofercie,
W miejsce wad naszych porzuconych szczerze.

(Ze śpiewem dwóch ostatnich wierszy, dzieci wchodzą do salonu i tu skończywszy śpiew, rozwijają się w kóło, a otoczywszy wieńcem solenizanta, tańczą kóło niego w lewo i w prawo, i jeszcze raz śpiewają razem:)

Przyjm życzenia, i te pienia,
Drogi tato nasz,
bis { A nie zgrzeszysz, gdy ucieszysz,
I poklask nam dasz!
Dziadzio.

SZARADA.

ułożyła Niezapominajka z nad Jabłoni.

Pierwszego w alfabecie
Szukajcie a znajdziecie,
Dużo muszą mieć starań i pracy
Kóło drugiej i trzeciej wieśniacy.
Każdemu zaś jest wiadomem,
Że kto przeprawia się promem,
Trzeciej, czwartej użyć musi
Kto się całość odgadnąć pokusi?

Łamigłówka kryształowa.

1. Spółgłoska.
2. Kwiat pachnący.
3. Owoc ogromny i soczysty.
4.
5. To, czego zabraniają przy zabawie.
6. Spód beczki.
7. Samogłoska.

Rząd środkowy i środkowe litery utworzą nazwę zamorskiej rośliny, z której wyrabiają tkaniny służące do ubrania.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 43-go.

Szarady:

H e l a.

Szarady 2-jej:

W a r k o c z.

Skrzynka do listów.

Wiochnie z pod Lublina serdecznie dziękujemy za przesyłkę. Oceniamy tem więcej zadość uczynienie naszej prośbie że wiemy jak czas Wiochny pożytecznie i pięknie zajęty nauczaniem młodszych siostrzyczek. Czekamy z upragnieniem sposobności uściśnienia jój w Warszawie. O dalszą pamięć o nas prosimy gdy się znajda jakie wolne chwile.

Rosicze z nad rowu i Córze Mazurów. Przysłany opis „prawdziwego wydarzenia” nie może być drukowany.

Łezka warszawska uradowała nas bardzo swą pamięcią i liścikiem. Niechże o nas i nadal nie zapomina, a obiecany opis podróży przyśle.

Niezabudka z nad Chomoru przysłała dobre rozwiązanie zagadek. Dobrze również rozwiązała zagadkę Ewy-Maryi **Zorza północna**, której niecierpliwość zaspokojoną już została.

Tęcza z nad Jatrani wybrała sobie odpowiednią dla siebie korespondentkę; liścik niedługo będzie wydrukowany. Spódniczka już się *przydała*; odzianemu nią biedactwu mniej dokucza zimno, które tak wcześniej w tym roku nadeszło.

P. Marya Sok. Wieczory wysyłamy pod nowym adresem. Wrażenia z rodzaju tych, jakich córeczki Pani doznały, pozostają w pamięci na całe życie, i dobrze to może mieć we wspomnieniach, taką jasną chwilę zachwyty, szczęścia i szlachetnego uniesienia... Żałujemy bardzo, że z zabawki przez nas podanej, córeczka Pani, do tej pory nie korzysta; zdaje nam się jednak, że nie jest to rzeczą trudną: trzeba tylko brać do pierwszych prób duży kawałek bibułki, na małym bowiem trudniej wykonać potrzebne załomy.

Na list do nas, **Sosno polska**, nie trzeba się „odwagać”, bo każde słowo od naszych korespondentów jest dla nas największą przyjemnością. Gołąbka zapewne niedługo powróci; napatrzyła się cudów natury, sztuki i przemysłu, ale pomimo to, stęskniona za rodzinnymi kątami. Listy z wyspy Atlanty zajmują wszystkich naszych czytelników i nie może być inaczej: prawda w nich tak misternie spleciona z wytworem wyobraźni, tyle skarbów uczucia i tyle tam zasobów wiedzy, że całość koniecznie wybiedz musiała nad miarę popolitości. — Rymotwórstwo jest nauką trudną, obok wrodzonych zdolności trzeba jeszcze dużo pracować, czytać wzorowych poetów, myśleć głęboko i poważnie, bo inaczej wierszyk, nawet zgrabny formą, będzie tylko czczą choć misterną zabawką z wyrazów skleconą. Ani cię zachęcamy ani odwozimy od próbowania sił, które może czujesz w sobie; zanim jednak z plonem ich wystąpisz, trzeba się przekonać czy istotnie są one *siłami*: siłą myśli, siłą uczucia, bo z tych dopiero składa się talent prawdziwy. Na drukowanie „zawczasie, kwiatku, zawczasie”...

Liściki **Czarnookiś z Puszczy** będą umieszczone, skoro kolęj na nie nadejdzie. Ale czy nie zawiele to: trzy na raz!

Droga Józiu Ł. w Gł.! Czemu nie pisziesz do Wieczorów choć je tak lubisz?... gdyż Ukrainka na Mazowszu pokazywała mi listy twoje. Poznałam cię z jój opowiadania, i zyskałaś sympatyę moję w zupełności. Zapragnęłam korespondować z tobą, czy dobrze? Odpisz mi proszę przez Wieczory, które i ja z wielkiem

zajęciem i upodobaniem czytuję, i zgadnij kto ci przesyła serdeczne uściśnienia. Śmieszkę pozdrawiam życzliwie, i proszę o zaawidowanie, czy nie znała w Salonice Margaretę M.? Powiedz także jak się sama nazywasz, jak wyglądasz, i w której części miasta mieszkałaś? Bo nauczycielka Mar. jest obecnie w naszym domu, i chce wiedzieć czy w tym samym czasie bawiłyście obie na tureckiej ziemi? Odpisz prędko, niecierpliwie będziemy oczekiwać listu twego. *Sosenka.*

Droga Złota Rybko i Szczeroci! Zaciekawiałaś mię kto jesteś? Bo ja żadnej panienki w Lub. nie poznałam. I ja zdałam egzamin do III kl. na pensję p. S. powiódł mi się dosyć dobrze, ale cóż kiedy p. S. nie chciała mię przyjąć mówiąc, że jestem za małą do III kl. więc jeszcze zostanę w domu. Napisz mi co o sobie. Szczeroci najdroższa co porabiasz w War.? czy bierzesz lekcye u p. M. czy p. Marya jest już w Ł.? Odpisz choć kilka słówek i nie zapominaj o zawsze cię kochającym *Światłku.*

Kochana Wierzbko płacząca ze Żmudzi! Ponieważ chcesz korespondować z nami, ośmieliłam się pisać do ciebie choć jestem młodszą, bo mam 10 lat. Mieszkam na wsi, lubię bardzo wieś i wszystkie zwierzęta a szczególnie owce, bo są łagodne i spokojne. Mam brata i siostrę młodszych odemnie. Całuję cię. *Gospośia z Podola.*

Droga Cieciorczko! Ponieważ nie mogę się doczekać od ciebie listu obiecanego, zapytuję cię przez Wieczory, co znaczy twoje milczenie? Czy wesoło przepędziłaś tegoroczne wakacje i czy dużo czasu poświęcałaś nauce? Ja próżnowałam w całym znaczeniu tego wyrazu. Odpisuj koniecznie twój *Przyjaciółce.*

Kochana Podolanko! Mam lat 12, mieszkam w Kamieńcu pod., nazywam się Marya P. Ciebie o takież szczegóły proszę. W obawie aby mój list nie był zadługi, całuję cię serdecznie. *Lubelia.*

Droga Mgło wieczorna! Znam cię, choć cię nigdy nie widziałam, bo Barwinek i Boginka z nad Łydyni dużo mi o tobie opowiadały. Pewno i ty znasz mnie z ich opowiadania. Może się kiedy zobaczymy; tymczasem zaś może zechcesz do mnie pisywać. Wiem żeś się wesoło w Zoppot bawiła. Pozdrawia cię serdecznie *Królowa Elfów.* Gołąbce kochanej i wszystkim korespondentkom posyłam uściśnienie.

Droga Tęsknoto za Wisłą! Spodobał mi się bardzo twój pseudonym, to też postanowiłam napisać do ciebie aby się bliżej zapoznać. Napisz mi proszę cię gdzie mieszkasz, jak się nazywasz i ile masz lat? ja ci wzajemnie na to odpowiem. *Peretka.*

Kochana Pszeniczko. Na imię mi Adelcia, mam tyle lat, co ty, mieszkam na wsi, na Ukrainie. Lubię bardzo czytać, robić szydełkiem i pływać łódką. Odpisz jaknajprędzej. *Lewkonka.*

Kochana Mucholówko. Ucieszyłam się odebrawszy twój liścik, za który ci serdecznie dziękuję. Bardzo żałuję żeśmy się w Kr. nie spotkały. Wiem że się nazywasz Zosia S. i masz trzy siostry młodsze od siebie. Całuję cię serdecznie. *Mała Pedantka z nad Nidy.* P. S. Cichą Wodę i Brzydotkę z nad Tamizy serdecznie pozdrawiam.

Droga Szarotko Tatrzańska! Obiecałyśmy sobie wzajemnie, że będziemy do siebie pisywały przez Wieczory ałja pierwsza obietnicę zamieniam w czyn. Co porabiacie? Czy grywacie jeszcze w krokiet? My grywamy, ale bardzo rzadko. Jaka szkoda że nie byłaś na okrężnem w Ł. Anielcia zawsze o was mówi i ma wielką ochotę pojechać do War. Całuje cię i oczekuje niecierpliwie odpowiedzi znajoma ci *Kukulka z pod Lublina.*

Miła Westalko! Zapytujesz jak zdrowie mój mamy? Nietety od czterech już miesięcy spoczywa ona smarem wiecznym; została więc zupełną sierotą, gdyż ojciec mój umarł przed czterema laty. Pisz do mnie, czuję do ciebie ogromną sympatyję, niezmiernie byłabym rada gdybyś cię mogła zobaczyć. Żegnaj cię. Kochająca cię *Stokrotka z nad Stochodu.* Staszkę z Podola, Ukrainkę na Mazowszu, Niezabudkę Czeską i Jodelkę z nad Noteci ściśkam serdecznie.

Uboga uczennica, która już nieraz za naszym pośrednictwem pukała do litościwych serduszek, prosi o literaturę polską Kulickowskiego jeżeliby takowa nie była potrzebna tym, którzy ją posiadają.